Pranie karabinów

Gawęda żołnierska

Jak wszem i wobec wiadomym być powinno, Belmond to był niezwykły, niespotykany i niezastąpiony szef jednej z kompanii podchorążych Wojskowej Akademii Technicznej. Funkcję tą pełnił wiele lat, gorliwie i z prawdziwym poświęceniem.

Jako że w dość zamierzchłych było to już czasach, które być może nie wszyscy znają lub pamiętają, wspomnieć należy, cóż to była za *persona grata*.

Aby więc nie uchybić w niczym, o czym wiedzieć i pamiętać by należało, aby gawędzie żołnierskiej oddać „co cesarskie", a takoż w poczuciu głębokiej troski o zachowanie tradycji żołnierskich, pozwolę sobie przypomnieć kilka jedynie zdarzeń, które sprokurował – postrach siejący u kolejnych roczników podchorążych, niejaki sierżant, a potem starszy sierżant – *alias/vel/secundo voto* szef kompanii akademickiej Belmond.

Po wojskowemu zatem *ad rem*.

Miał Belmond wiele sukcesów, oj wiele i na różnych polach. Skupmy się może tylko na tych koszarowych, bo ich ilość była tak wielka i tak były różnorodne, że umysłem żołnierskim ogarnąć tego nie sposób. Dlategoż to właśnie nie mogli tego ani dostrzec, ani pojąć podlegli Belmondowi podchorążowie, na co dzień studiujący trudny może trochę kierunek, jakim była cybernetyka.

Od razu zaznaczyć należy, że Belmond do tak prozaicznych spraw, jak jakieś tam wykłady z elektroniki, informatyki czy procesów stochastycznych, nie wtrącał się wcale. To nie było ani ciekawe, ani zajmujące. Jego domeną były porządki, sprzątanie rejonów, wydawanie przepustek, no i wychowywanie podchorążych. Wychowywanie polegające przede wszystkim na wtłaczaniu w ich oporne głowy zasad posłuszeństwa, uległości i szacunku do przełożonych, a do szefa kompanii w szczególności.

Pełniąc swoją funkcję przez lat wiele, Belmond wypracował szereg sposobów, aby „nękać" podchorążych. Doprowadził też do perfekcji swoisty sposób przemawiania do nich, a każdą ze swoich tyrad zaczynał zazwyczaj zwrotem: „Bo to widzicie podchorążowie...".

Temat przemówienia zależał od wielu czynników. Od aktualnego humoru szefa, pogody w danym dniu czy zachowania się podchorążych. Bywało jednak, że także od bieżących zdarzeń kompanijnych lub odgórnych wytycznych.

Trzeba przyznać, że tak po prawdzie to Belmond przejął po trosze rolę dowódcy kompanii i dowódców plutonów, których formalnym zadaniem było takie czy inne uwagi lub wskazania podchorążym czynić. Ci jednak, czy to z lenistwa, czy z powodu braku umiejętności przemawiania przed frontem kompanii lub też, chcąc dać satysfakcję nadambitnemu podoficerowi, scedowali na Belmonda wygłaszanie wszelkich „kazań".

W praktyce było tak, że po formalnym odczytaniu rozkazu dziennego oficerowie odchodzili do kancelarii, a szef występował przed front pododdziału i nie hamowany przez nikogo przemawiał, przemawiał, przemawiał...

Jednego razu los tak zdarzył, że całą kadrę oficerską gdzieś wymiotło, a Belmond z konieczności otrzymał władzę

nadzwyczajną, czym było zastępowanie samego dowódcy kompanii. Władza absolutna i nieskrępowana. No i poznali podchorążowie, co to szefowskie rządy. Poznali i przekonali się. Na własnej skórze i dobitnie.

Pierwszego dnia tychże rządów, z powodu niepogody, poranny apel całego pododdziału prowadzono na korytarzu w akademiku. Belmond polecił podoficerowi dyżurnemu wystawić dla siebie stolik i krzesło. Było to bardzo dziwne i niespotykane, ponieważ wcześniej nigdy nic takiego się nie zdarzyło. Apel zawsze przeprowadzano na stojąco. Stanowisko do „urzędowania" ustawiono na środku i w tym momencie dla wszystkich stało się jasne, że szef będzie „odbywał apel" na siedząco. Już na wstępie celebra zapowiadała się tajemniczo.

Co bardziej wnikliwi podchorążowie zaczęli półgłosem zastanawiać się, czy rutynowe meldunki od pomocników dowódców plutonów też będzie Belmond odbierał na siedząco i salutował na siedząco, czy przy tych czynnościach to jeszcze postoi, a dopiero potem spocznie na krzesełku.

Szybko okazało się, że za wcześnie na takie rozważania, a rozstawianie mebli to nie był koniec przygotowań do apelu. Gdy wszystkie plutony stały już w równych szeregach, pomocnik szefa wyniósł z jego kanciapy jakąś sporą butelkę do połowy wypełnioną tajemniczą miksturą i ostrożnie postawił ją na stoliku. Wszyscy zrozumieli, że oto rozpoczęła się jakaś nowa i tajemnicza ceremonia.

– Czy Belmond będzie nas tym czymś częstował, czy jest to może jakaś kurara dla niepokornych? – zapytał najbliżej stojący podchorąży.

– To specjalne mleczko na nerwy i żołądek – równie tajemniczo i szeptem prawie odpowiedział pomocnik, po czym szybko wrócił do kanciapy.

– Mnie tu wyraźnie brakuje wykrochmalonego obrusika i kwiatuszków – jak zawsze bystro zauważył Waldek.

Niestety, ani obrusa, ani kwiatków, ani telefonu, ani kajetu na notatki nie doniesiono.

Po dość długiej chwili oczekiwania szef wreszcie „wychynął" ze swojej dziupli. Lekko pochylony, powoli poczłapał w kierunku krzesełka i ciężko usiadł. Wszyscy podchorążowie z niepokojem i troską wpatrywali się w jego twarz, na której widać było albo wielkie cierpienie, albo jakiś niezwykły ciężar troski i odpowiedzialności, bezlitośnie przygniatających Belmonda.

– No tak, doigrali się. Oficerowie, chcąc się sierżanta pozbyć, na kilka dni dali mu władzę dowódcy kompanii. Władzę, która go po prostu zabija – mruknął znowu Waldek z drugiego szeregu, a chichot przeleciał wzdłuż całej kompanii.

Szef milczał, uważnie lustrując oczyma szeregi podchorążych. Nie wróżyło to dobrze, oj nie wróżyło...

Po dłuższej chwili ostrożnie odkręcił zakrętkę butelki i prosto „z gwinta" powolutku wypił kilka łyków. W tym czasie, w przepisowej odległości od stolika, stanęli wyprężeni funkcyjni podchorążowie, chcący złożyć przewidziane regulaminem meldunki.

Belmond ich jednak zaskoczył i meldunków nie przyjął, nosowym głosem nakazując wrócić do szeregu.

Była to druga odsłona spektaklu pod tytułem „apel poranny".

Jako stary praktyk koszarowy szef doskonale wiedział, że jemu jako pełniącemu rolę dowódcy kompanii należy złożyć meldunek zbiorczy, a nie cząstkowe od każdego plutonu. Tak było na każdym apelu, a tym, który odbierał meldunki od pomocników, był zawsze on sam i dopiero potem osobiście meldował o wszystkim dowódcy kompanii. Niby proste, ale z przyzwyczajenia pomocnicy zapomnieli, że rola szefa jest przecież w tym dniu zgoła inna, daleko wyższa, o czym pamiętać należało.

No i się zaczęło.

Belmond gestem dłoni wstrzymał dalsze działania, a po kolejnym przełknięciu mikstury lekko uniósł głowę i niezwykle zmęczonym głosem zakomunikował:

– Pomocnik pierwszego plutonu do raportu. Na wyjściowo (dotyczy umundurowania), zaraz po zajęciach, a teraz kompania „Rozejść się".

Wszyscy na moment zdębieli, ale po chwili stało się jasne: uchybiono godności szefa, a to jest błąd, błąd niewybaczalny, za który musi zapłacić podchorąży funkcyjny pierwszego plutonu, bo to on właśnie powinien był zebrać meldunki zbiorcze, a potem sam jeden wszystko szefowi zameldować.

Po powtórnym ustawieniu się szeregów Belmond, najwyraźniej niezwykle obrażony, nie przyjął już żadnego meldunku, tylko półgębkiem oświadczył, że podchorążowie nie przestrzegają regulaminów „ubiorczych", nie szanują sortów mundurowych, że na salach żołnierskich panuje „ogólny i totalny bałagan i nieporządek" i dlatego on, aby z tym wreszcie skończyć, na dzień następny ogłasza „apel mundurowy".

I tak to podchorążowie usłyszeli dwie wielce dla siebie niepomyślne wiadomości.

Wszyscy posmutnieli, a pomocnik, który po zajęciach miał stanąć do raportu karnego, chodził przez całe zajęcia jak struty. No cóż: tak „straszliwe" uchybienie musi być ukarane. Srodze ukarane.

Nie uszło to uwagi młodego asystenta Tadzia, który dobrze pamiętał postać Belmonda, bo sam kilka lat wcześniej był pod jego troskliwą „opieką".

– Panowie, spokojnie. Belmond zapętlił się w kwadraturę koła – zaczął się śmiać, nawiązując swoją wypowiedzią do kalamburowatych wystąpień samego zainteresowanego.

– Co stoi w regulaminie? – kontynuował porucznik Tadzio – Ano to, że żołnierza do raportu karnego przedstawia jego

przełożony. Czyż nie tak? A kto jest aktualnie przełożonym pomocnika dowódcy pierwszego plutonu? Odpowiedź jest prosta: sam dowódca kompanii, w tym przypadku Belmond. Dowódców plutonów nie ma, a żaden z innych pomocników przełożonym kolegi nie jest. Aby wszystko było zgodne z regulaminem, Belmond nie może sam sobie przedstawić podwładnego do raportu. Koniec, kropka.

Wszyscy parsknęli śmiechem, a po zajęciach pomocnik do raportu naturalnie się nie zgłosił, bo po prostu nikt nie miał prawa go przedstawić. Jeden zero dla podchorążych, ale gra nie skończona. Następnego dnia miał się odbyć zapowiadany już „apel mundurowy".

Taki apel to nie przelewki. Przeprowadza się go tak naprawdę po to, aby udowodnić żołnierzowi, że albo czegoś mu brakuje, albo że jakaś część umundurowania jest uszkodzona – nawet brak guzika jest na to dowodem. W ostateczności coś nie jest tak doczyszczone lub poskładane, jak być powinno. Niezależnie od wszystkiego cały zestaw otrzymanych sortów mundurowych i wyposażenia żołnierskiego należało w ściśle określonym porządku zaprezentować kontrolującemu.

No i po raz kolejny się zaczęło. Belmond, pomny upokorzenia związanego z nie odbytym raportem karnym poprzedniego dnia, postanowił pokazać, na co go stać.

Na pierwszy ogień poszły gumowe ściągacze od polowego munduru, ściągacze z definicji przez podchorążych poodcinane, a to z tego powodu, że mocno cisnęły w śródstopie, zwłaszcza podczas wielogodzinnych wykładów i zajęć prowadzonych przecież na siedząco.

Szef z obrazoburczą miną uznał to za „niszczenie nowego umundurowania", na co jednak podchorążowie odpowiedzieli gremialnie potrzebą wyfasowania dłuższych, wygodniejszych spodni, a podchorąży Kazio w poczciwości swojej pokazał

nawet zasinione od uwierających go gumek stopy. On jeden gumek nie poodcinał.

Wymiana mundurów z natury rzeczy leżała w gestii szefa kompanii, ale ponieważ były one nowe, w grę nie wchodziła. Argumenty podwładnych poparte były jednak i dowodami, i troską o zdrowie. Jakkolwiek z bólem serca, Belmond musiał uznać racje żołnierzy.

Dwa zero dla podchorążych.

Wszyscy wiedzieli, że gra nie skończona i że szef tak łatwo upokorzenia nie daruje. Rzeczywiście, opuścił jeszcze niżej szczękę, skupił się w sobie i... odszedł do swojej „kapciory" – magazynku kompanijnego. Nie na długo, bo jeszcze tego samego dnia pokazał swoją pozycję w szyku i co może podchorążym udowodnić.

Jako że uważał się chyba za najbardziej wyczulonego na punkcie czystości szefa kompanii w całej akademii, a może i wojsku, skupił się na tym aspekcie sprawy. Na pierwszy ogień znowu poszły mundury.

– Bo to widzicie, podchorążowie. Mundury macie nieczyste – obwieścił na wieczornym apelu.

Dla wszystkich w tym momencie stało się jasne, że oto nie tylko sumienia, obuwie wojskowe czy w ostateczności dłonie, zwłaszcza po zajęciach poligonowych, można mieć „nieczyste", ale mundury też. A sprawa była prosta. Mundury wcale nie były „nieczyste". One były tylko z różną częstotliwością i różnie prane.

Gwoli wyjaśnienia przypomnieć należy, że podchorążowie otrzymali kilka zestawów mundurowych, w tym dwa stricte polowego. Chodzili w nich na zajęcia i od czasu do czasu na poligon. Problem polegał na tym, że nie wprowadzono zbiorczego prania tegoż umundurowania, ponieważ każdy czynił to według uznania. Sugerowaną regułą było, aby „polówki" prać co najmniej raz na kwartał. Ta dowolność

właśnie powodowała, że jedni czynili to częściej, inni nieco rzadziej. Z natury rzeczy w czasie lata lub intensywnych zajęć poligonowych prania były częstsze, a zimą rzadsze, bo mundurki prały się nad wyraz opornie. Techniki czyszczenia też były różne. Niejeden moczył przez całą noc swoje ciuchy w jakimś strasznie żrącym proszku, no i polówki po kilku takich „starannych praniach" traciły swój regulaminowy kolor khaki.

Efekt był do przewidzenia: kompania Belmonda chodziła jak łaciata krowa, a na każdym apelu jawiła mu się przed oczyma prawdziwa pstrokacizna. Jedni w mocno zbielałych już strojach – jakby dopiero co wrócili z młyna, a inni w ciemnej zieleni, bo pewnie płukali tylko swoje rzeczy w ciepłej wodzie, gdyż na przykład po prostu nie chciało im się inwestować w proszek do prania.

Na takie fanaberie podwładnych Belmond przystać nie mógł, ale niestety nie bardzo wiedział, co z tym zrobić: farbować te wyblaknięte mundury czy w ogóle zakazać ich prania? Ani na jedno, ani na drugie pozwolić sobie nie mógł, a i regulamin nie pozwalał. Pozostało mu zatem chodzenie z zasępioną miną i szukanie następnego haka na swoich krnąbrnych podwładnych.

Wynik: trzy zero.

Nie byłby jednak Belmond sobą, gdyby czegoś specjalnego nie wymyślił, a przyznać trzeba, że na pomysł wpadł iście szatański. Swoją moc postanowił pokazać w sytuacji, w której podchorążowie byli od niego całkowicie uzależnieni, a ponadto siedzieli jak na węglach. Sytuacją taką było przyznawanie i wydawanie przepustek.

Akcję odwetową przeprowadził metodycznie.

We wszystkich koszarach sobotnie popołudnie to czas newralgiczny. Wiadomo, tydzień się skończył: pora na wyjście poza koszary.

Co jak co, ale przepustki były podchorążym potrzebne jak powietrze. Każdy miał jakąś niezwykle ważną sprawę do „obsłużenia" czy „zabawienia", a sprawą tą, a właściwie istotą, była zazwyczaj długonoga, z blond lub czarnymi włosami piękność o powłóczystym i zniewalającym spojrzeniu. Te czarujące i kuszące powaby i wdzięki śniły się niejednemu przez cały tydzień.

Wszyscy wiedzieli, że posiadaczki tych cudowności czekać nie powinny i dlatego każdy robił, co tylko mógł, aby udowodnić im i sobie, że „podchorąży zawsze zdąży". Tak było i wszyscy byli tego świadomi, a Belmond... niestety też.

Czując aż nadto dobrze, że to jest właśnie najczulsze miejsce jego podwładnych, postanowił, że właśnie teraz pokaże, na co go tak naprawdę stać. Kiedy w sobotnie popołudnie wszyscy chętni na przepustki ustawili się grzecznie i regulaminowo przed magazynkiem szefa, ten, po dość długim oczekiwaniu, wezwał do siebie podoficera dyżurnego i zarządził... czyszczenie broni.

Wieść ogłoszona przez dyżurnego poraziła wszystkich jak piorun z jasnego nieba w pogodny dzień. No co jak co, ale czyszczenie broni w sobotę? W sobotę po południu?!

Trzeba gwoli ścisłości zaznaczyć, że i owszem, podchorążowie mieli na wyposażeniu osobistym broń. Każdy co najmniej „kałasza", a niektórzy i po pistolecie. Trzeba też pamiętać, że broń była składowana w prawie hermetycznie zamykanym magazynku, gdzie żaden kurz, czy nie daj Boże wilgoć, wstępu nie miały. Broń ta nie była też praktycznie używana, a jeśli już, to tylko w czasie przemarszu na poligon i z powrotem. Takoż strzelanie, jeśli już do niego doszło, było wydarzeniem rzadkim, po którym co najmniej dwukrotnie czyszczono i oliwiono starannie każdy karabin.

Wszystko to Belmond wiedział, no ale w wojsku to tak już było i jest, że artylerzysta armaty, ułan konia, a piechur karabinu – nie wyczyszczą nigdy.

„Służba nie drużba, rozkaz nie gazeta" i dyżurny po otwarciu magazynku zaczął wydawać broń, a podchorążowie, chcąc nie chcąc i sypiąc przy tym dosadne określenia, zabrali się za czyszczenie.

Za pośrednictwem swojego pomocnika raczył Belmond i to jeszcze przekazać, że „sam i osobiście" każdą sztukę broni obejrzy, aby w czyszczeniu nie było żadnej fuszerki. Przepustki i owszem, zostaną wydane, ale dopiero wtedy, gdy cała broń w komplecie wróci do magazynu.

Czarna rozpacz ogarnęła wszystkich, bo w tym momencie stało się jasne, że z przepustek nici. A dziewczyny czekają...

Niektórzy, co bardziej zdesperowani, próbowali przedłożyć do sprawdzenia swoje lśniące jak lusterka karabiny, ale wystarczyło szefowi włożyć złomek zapałki w jakąś szczelinkę, których w karabinie jest bez liku, aby udowodnić delikwentowi, że niestety, ale karabin jest „nieczysty".

– Bo to widzicie podchorąży – usłyszał ten i ów – wy tu szefa swojego nie oszukujcie, bo i tak wam się nie uda. Następnym razem traficie do raportu.

Wyglądało na to, że tym razem Belmond wygrał i to wygrał na całej linii. No i upajał się swoim tryumfem: „No i co, podchorążowie? Warto było z szefem «w cymbergaja» pogrywać? To ja mam władzę, władzę absolutną, a wy musicie mnie słuchać".

Tak mu się niestety jednak tylko wydawało, bo nie przewidział jednej rzeczy, a mianowicie pomysłowości, przebiegłości i sprytu podwładnych. Dla niego samego – jako ich przełożonego, skończyć się to mogło całkiem nieciekawie, a mianowicie... raportem karnym. Czymś, co tak bardzo lubił stosować wobec innych. Cała sprawa z czyszczeniem karabinów szybko nabrała zgoła inny, absolutnie nieoczekiwany obrót.

Zaczęło się od tego, że jeden z podchorążych, młody żonkoś i od niedawna szczęśliwy tatuś, wpadł na zgoła oryginalny

i nie stosowany dotąd sposób pozbycia się jakichkolwiek zabrudzeń na broni.

– Panowie, a od czego jest ciepła woda, proszek i szczoteczka. Wykąpiemy karabinki i zaraz nasza „bronia" będzie czyściutka jak pupcia noworodka.

Sugestia migiem rozeszła się po salach. „Tego jeszcze nie grali" – można by powiedzieć, no ale cóż, zgodnie z porzekadłem: „podchorąży to jak osioł – stworzenie uparte, odporne na wszelkie perswazje i trudne do za...bania".

Pomysł uprania karabinów podchwycono, a pomysłodawca dzielił się z kolegami swoimi nowymi doświadczeniami uzyskanymi podczas kąpania noworodka. Czy robił to akurat osobiście, czy tylko obserwował – nie wiadomo, ale nikt przecież tego nie dociekał.

– Podtrzymując obiema rękami, trzeba dzieciątko włożyć delikatnie do letniej wody. Główka zawsze musi być nad wodą, aby mu do noska woda przypadkiem nie wpadła – tłumaczył szczegółowo.

Rolę dzieciątek miały tym razem odegrać „kałasze", zaś proces ich kąpieli absolutnie nie przebiegał według wytycznych troskliwego ojca. Nawet w teorii nie zrobiono tak, jak sugerował.

Do długiej i szerokiej rynny w umywalni nalano gorącej wody, tak gorącej, jaką się tylko dało. Nawalono proszku, ile wlezie, a potem faktycznie ostrożnie, tak aby nie poparzyć sobie paluszków, „zdeponowano" tam karabiny. No i poleżały sobie automatyczne karabinki Kałasznikowa, chluba radzieckiego przemysłu zbrojeniowego, we wrzątku z dobry kwadransik albo dwa, a silny proszek do prania swoje robił.

Gdy woda porządnie wystygła, nie pozostało nic innego jak tylko szczoteczką, tym razem delikatnie, a jakże, wymyć najdrobniejszą nawet drobinkę smaru, jaka się może jeszcze tu i ówdzie uchowała. Jednym słowem: nastąpiła sterylizacja broni – sterylizacja prawie chirurgiczna.

Dumni z siebie podchorążowie gremialnie ponieśli broń do przeglądu. Przekonany o swojej przebiegłości szef z marsową miną sprawdzał jeden, drugi, trzeci karabin, a tu nic: wszystkie czyste jak łza. Wyglądało na to, że zrezygnowany i zdezorientowany da sobie wreszcie spokój i upragnione przepustki wyda. Gdy do sprawdzenia podał mu swoją broń najpoczciwszy z poczciwych, szczery i przesympatyczny pupil kompanijny Kazio, Belmond zdębiał. Po prostu zdębiał...

Wziąwszy karabin do ręki, nagle odrzucił go jak poparzony. Oto z komory zamkowej ciurkiem wylała się ciepła jeszcze woda...

– Co wyście podchorąży z tą bronią zrobili i dlaczego ona taka ciepła?!

– Melduję panie sierżancie, że była kąpana w gorącej wodzie. Ale nie w samej wodzie, z proszkiem, z proszkiem do prania – nie omieszkał dodać jak zwykle absolutnie szczery Kazio.

Oczy Belmonda w jednej chwili przewróciły się na drugą stronę, białka wyszły na wierzch, ręka po omacku sięgnęła po butelkę z miksturą, a z gardła wydobył się stłumiony głos:

– Pomocnik – tym razem było to skierowane do pomocnika szefa – wydajcie im te przepustki i niech ja już tego wszystkiego nie oglądam.

Zapominając o naoliwieniu, całą broń szybciutko zdeponowano w magazynie, a po dziesięciu minutach w rejonie kompanii pozostała tylko służba dyżurna no i oczywiście szef, który dłuższą chwilę dochodził do siebie.

Późnym wieczorem Belmond, żegnając się z podoficerem dyżurnym, wyjawił mu powód swojego prawie zasłabnięcia:

– A czy wy podchorąży wiecie, co by było, gdyby się o tym waszym wypraniu karabinów dowiedział oficer uzbrojenia?

Dyżurny, udając, że nie rozumie, z troską i pewnym niepokojem na twarzy lekko zaprzeczył głową.

– Skończyłoby się to raportem karnym. Dla wszystkich. Rozumiecie? Przekażcie to pozostałym podchorążym – i nie czekając na jakąkolwiek reakcję, oddalił się dostojnym krokiem.

„Pewnie i tak by się skończyło, ale jako pierwszy na dywaniku stanąłby nie kto inny tylko sam szef, bo to z jego inicjatywy podjęto tak drastyczne środki" – pomyślał dyżurny, lekko się uśmiechając, i po rozluźnieniu pasa wygodnie usiadł w przygotowanym zawczasu fotelu.

Jako że od nowego tygodnia był już obecny dowódca kompanii, szef zdał mu swoje obowiązki, a na podchorążych coś ze dwa tygodnie był po prostu obrażony i na apele nie przychodził. Jakież było przerażenie kadry dowódczej, kiedy podczas kolejnej kontroli magazynu broni stwierdzili, że zdeponowane tam „kałasze" zmieniły kolor na lekko rudy...

Po pewnym czasie w akademickich koszarach wszystko wróciło do normy, ale w pamięci podchorążych pozostał fakt „wyprania karabinów". Przypadek, jaki chyba nie zdarzył się w żadnej innej uczelni wojskowej. A może się i wydarzył, wszak belmondopodobnych było wielu...